

## 1. Żaden z niej anioł

Pewnego dnia w szesnastym roku życia Art zniecka przypomniła sobie matkę. Stało się to zaraz po tym, jak dziewczyna zeskakując ze schodów, grzotnęła głową w drewnianą poręcz zwieńczoną rzeźbą na kształt orła.

Usiadła, oszołomiona i podniosła wzrok na stojące na górze bardzo głupie dziewczyny, rozchichotane i wytykające ją niegrzecznie palcami. Na ich głowach okolonych bujnymi lokami, niebezpiecznie balansowały ogromne księgi. Kim one są? – spytała sama siebie Art. I wtedy...

I wtedy jej myśli uleciały do szczupłej, silnej kobiety, niezbyt wysokiej, ale wyglądającej na wyższą dzięki długim nogom opiętych spodniach i sięgających kolan butach. Do kobiety o truskawkowo-blond włosach, zebranych w kok z tyłu głowy, i o niesamowicie zielonych oczach, szmaragdowych jak agrest. Myśli Art uleciały do Molly Faith. Molly była jej matką. Art nie poświęciła jej ani jednej myśli przez sześć długich lat. Nie myślała i nie pamiętała o niej – własnej matce, kapitanie piratów żeglujących po ciepłych morzach. Art – która ledwie dziesięć minut temu znana była jeszcze jako panna Artemizja Fitz-Willoughby Weatherhouse (za nią się zresztą sama uważała) – potrząsnęła gwałtownie głową.

Wróciła jej jasność myślenia. Podobnie jak pamięć.

Podniosła się.

– Wybuchło działo. Armata, którą Molly nazywała Księżną, eksplodowała. To właśnie dlatego Molly wyleciała mi z głowy – powiedziała na głos.

Uniosła dłoń i dotknęła swej fryzury, starannie ułożonej, jak u koleżanek. Włosy miała ciemnobrązowe z pojedynczym pasemkiem w szokującym, ognistym, kolorze pomarańczowym. Zawsze musiała je pokrywać pudrem. Zupełnie jakby tych kilka jaskrawo ubarwionych włosów musiało się z jakiegoś powodu wstydzić.

Ów wściekły pomarańcz przytrafił się jej włosom właśnie wtedy, kiedy wybuchła Księżna – a może jednak było to jakieś inne działo? – gdy Art miała... Zaraz, ile? Dziewięć? Dziesięć? Tak. Działa bywają przydatne, ale miewają swoje narowy.

– Nic ci się nie stało, Artemizjo? – zagruchała jedna z głupich dziewczątek, najprawdopodobniej mając nadzieję, że coś się jednak stało. W tak nudnym miejscu, każde wydarzenie, nawet takie, stanowiło miłą odmianę szarej codzienności.

Art zamyśliła się głęboko. Czy nic mi się nie stało?

Nic.

Przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegła na górę. Rozdarła sobie swą długą spódnicę, ale zupełnie się tym nie przejęła.

Wyfiokowane dziewczynki gwałtownie się cofnęły. Z kilku głów pospadały książki. Głucho zastukały o podłogę. Jeszcze chwilę wcześniej wszystkie dziewczęta ćwiczyły właściwą postawę. Art razem z nimi. Ćwiczenie polegało na tym, że musiały chodzić z wyciągniętymi szyjami i plecami wyprostowanymi jak struna – jeśli któraś się pochyliła, choćby lekko, książka spadała na ziemię. To właśnie przydarzyło się książce Art, kiedy ta straciła równowagę.

Choć pamiętała, kim są otaczające ją młode damy oraz to, że wielki dom, w którym się znajdowała, rezydencja o lśniących posadzkach i pastelowych ścianach, był „Domem pod Aniołem – Akademią dla młodych dam” w Rowhampton (miasteczku pod Londynem), to rzeczywistość była mniej realna niż zapomniana do tej pory przeszłość. Dawne czasy wtaczała się teraz do jej głowy niczym rozklekotany, pędzący na łeb, na szyję powóz.

– Uwaga! – pisnęła któraś z dziewczyn. – Wredna Eeble idzie!

Wredna Eeble? A kto to taki?

Ach, tak. Panna Eeble – jedna z pracujących w Akademii wychowawczyń. Należała ona do tych osób, które nie potrafią czegokolwiek nauczyć ani siebie, ani kogokolwiek innego. Złośliwa panna Eeble wywoływała w swych uczennicach nieustanny lęk.

No więc ta Eeble wychynęła właśnie z za rogu korytarza, odziana w wyprasowaną jak niedzielny obrus sukienkę, ze ściągniętą twarzą wyrażającą wściekłość, ale też zadowolenie, że może ową wściekłość okazać. O tak, uwielbiała karcić swoje podopieczne.

– Bożuniu ty mój, a cóż się tu znowu wyprawia?

– Artemizja spadła ze schodów!

Ciskające pioruny oczy wrednej Eeble najpierw spoczęły na informatorce, a potem na Art.

Czy ja znam tę kobietę? – zahuczało w głowie dziewczyny.

– Artemizjo, doprawdy, spadanie ze schodów ci nie przystoi. Jesteś dziewczynką z bardzo dobrego domu. Przez cały czas powinnaś olśniewać wdziękiem i kobiecością. Musisz być ozdobą całej płci pięknej. Dobrze ułożona dama nigdy z niczego nie spada.

Art patrzyła na wychowawczynię bez słowa.

I nagle wyprostowała się buńczucznie. Stojąc w swojej eleganckiej sukience, odrzuciła głowę do tyłu, lewą dłoń wsparła na rękojęści wymaginanego kordelasa, który kiedyś – lata temu – zawieszała właśnie na lewym biodrze. Kordelas był króciutki, bo i ona miała wówczas tylko dziesięć lat. Ale Art pamiętała już teraz, jak dobrze się z nim czuła. Zupełnie inaczej niż z książką na głowie. W odróżnieniu od niej kordelas w dłoni zupełnie jej nie ciążył.

– Madame – rzuciła wyniośle, prosto w twarz niepomiernie zdumionej panny Eeble – a cóż za nonsensy pani tu wygłasza? Tryska pani nimi jak deszczówka z rynny!

Panna Eeble otworzyła szeroko usta. Natychmiast jednak zamknęła je na powrót i mocno zacisnęła. Dobyło się z nich tylko jedno, jedyne oświadczenie:

– Artemizjo, sama doskonale rozumiesz, że za ten wybryk i wyjątkowy brak szacunku musisz zostać ukarana.

– Też mi coś, madame, ukarana. Phi!

Dziewczęta zaczęły wrzeszczeć. Książki spadały z ich głów niczym jesienne liście z drzew. Trach! Bum! Art znów zeskoczyła ze schodów. Zawisła na półpiętrze. W głowie grzmiały jej huczące działa, wiatr szumiał w takielunku, skrzypiały deski pokładu, dźwięczał głos Molly – jej matki. Przed oczyma ukazały się jej złote wybrzeża Amer Ryki, Persis i Zanzibari. Spomiędzy szeroko rozwartych, błękitnych paszcz fal niczym srebrne pociski wyskakiwały zwinne delfiny.

– Należy niezwłocznie sprowadzić jej ojca – zawołała panna Eeble. – Ona zupełnie postradała zmysły!

– Odzyskała! – poprawiła nauczycielkę Art. – Odzyskała!

To powiedziawszy, ukłoniła się dwornie orłowi z balustrady, który zwracając jej utraconą przeszłość, uratował ją przed tym nędznym życiem.

Była wigilijna noc. Padał śnieg.

Wszędzie dokoła ponura biel ziemi odbijała blask równie ponurej bieli nieba.

Anglia była republiką. Ponad dwadzieścia lat temu Anglicy zbuntowali się przeciwko monarchii i stracili z tronu króla. Zapanowały wówczas dni pełne chaosu i przemocy – ale ludzie czuli się silni i wolni – zrozumieli, że wreszcie mogą samodzielnie kierować własnym życiem. Potem, gdy sytuacja zaczęła się uspokajać, stopniowo wrócił ład i porządek. Arystokraci i królowie, także ich tytuły, nigdy jednak nie wrócili. Choć do kobiety wciąż, jeśli była dobrze urodzona, można było zwracać się per „lady”, nie było już lordów, króla ani królowej. Dlatego ojciec Art, George Fitz-Willoughby Weatherhouse, który wcześniej miał tytuł szlachecki, nazywany był przez wszystkich, zgodnie z nowym obyczajem, „ekslordem”.

Ekslord G.F.-W. Weatherhouse mknął swoim powozem co koń wyskoczy. A kiedy wreszcie dotarł pod bramę „Domu pod Aniołem”, stróż natychmiast rzucił się, by mu ją otworzyć. Pokryty płatkami bezustannie padającego śniegu wyglądał jak upiór. Noc zresztą była nadzwyczaj odpowiednia dla duchów.

Weatherhouse skrzywił się.

Jego posiadłość, Richman’s Park, oddalona była od szkoły nie więcej niż dwie mile, więc list w sprawie córki dotarł do niego jeszcze tego samego popołudnia.

Zwariowała. Tak napisali. Dokładnie tak samo, jak jej stuknięta matka, pomyślał Weatherhouse.

Akademia dla młodych dam znajdowała się w położonej wśród lasów dolince, pomiędzy wioskami Rowhampton i Arrowhampton. Zaraz za nią rozciągały się owiane złą sławą Błonia Wimblays, opanowane przez zbójców (według londyńskiego „Timesa” było ich tam dziesięciu na każdy kilometr kwadratowy); szczególnie groźny był rabuś posługujący się przydomkiem Dżentelmen Jack Kukułka. Weatherhouse z zadowoleniem myślał o tym, że jego powóz nie musiał przejeżdżać w pobliżu tego jakże niebezpiecznego miejsca. Ciągnięty przez parszające konie pojazd toczył się po obsadzonej lipami alei, prowadzącej do głównego budynku akademii.

Gdy Weatherhouse wysiadł, sączące się z okien żółte światło zaiskrzyło pięknie na jego wspaniałym stroju – haftowanym złotą nicią płaszczu i kamizelce ze złotymi guzikami – a także na lasce ze srebrną główką i dokładnie wypudrowanej peruce.

Panna Eeble oraz panna Grash – dyrektorka szkoły – wdzięcząc się i trzepocąc rzęsami niczym émy skrzydełkami, wprowadziły gościa do wnętrza domu i prowadziły lśniącymi korytarzami.

– Trzymamy ją w tym pokoju.

– W takim razie proszę mnie tam wpuścić, madame.

– Ależ sir, nie myśli pan chyba...

– Proszę się odsunąć i być cicho – zadysponował ekslord, który w konkurencji „bezcelność” wygrałby zapewne bez trudu ze znakomitą większością ludzi.

Ale obie damy były niezwykle pobudzone.

– Sir, mamy niestety powody przypuszczać, że dziewczyna może się okazać niebezpieczna...

– A nawet uzbrojona...

– Albo i...

– Cisza! Ani słowa! A jeśli nie potraficie utrzymać języka na wodzy, to droga wolna!

Panny E. i G. umknęły czym prędzej. Weatherhouse gwałtownie otworzył drzwi.

– Na Boga. A to co?

Siedząca przy kominku Art odwróciła się leniwie i spojrzała na fioletową z wściekłości twarz ojca. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę, że jeszcze dzień wcześniej czułaby strach i miałyby poczucie winny. Teraz jednak była w doskonałym nastroju. Uśmiechnęła się lekko.

– Dlaczego, u diabła, ty się jeszcze uśmiechasz? Spójrz na siebie! Trzymam cię tu przez sześć lat! Chciałem, żeby z rozbrykanej podfruwajki zrobiono z ciebie prawdziwą damę. Miało być lepiej, a nie gorzej.

– Och, czyli uważa pan, że jest gorzej, sir? – spytała Art.

Wyciągnęła swe długie nogi nieco bliżej do ognia. Ubrana była w męskie bryczesy, wysokie buty, białą koszulę i płaszcz z mocno połatanego aksamitu nieokreślonej barwy. Pomiędzy prostymi i nieuczesanymi włosami przeświecało pojedyncze pasmo nagietkowego ognia. Ten kosmyk Weatherhouse zobaczył po raz pierwszy od sześciu lat.

– Jesteś taka sama jak matka.

– Moja mama była w porządku.

– Nie wobec mnie.

– Dlaczego więc, tatusiu, tak się w niej zadurzyłeś?

– Jak śmiesz mnie o to pytać?

– A kogo mam pytać? Przecież to ty się z nią ożeniłeś.

Weatherhouse ryknął.

Jego ryk uderzył w pozłacane gipsowe ornamenty, którymi upstrzony był sufit.

Art wzruszyła ramionami. Wyjęła z kieszeni jabłko i spokojnie się w nie wgrzyła. Jej ojciec tymczasem zaczął przechadzać się po pokoju, waląc laską w nogi stołu.

– Czy nie wiesz, że twoja nieszczęsna matka – Molly – należała do najgorszych kobiet świata...

– Była piratką.

– Jeśli już musisz używać tego słowa, to owszem. Jeśli musisz. Była tak jakby... piratką.

– Chętnie się tym, że nigdy nie zabiła ani jednego człowieka – zauważyła Art – a bogactwa rabowała wyłącznie dzięki sprytowi i przebiegłości. I taka jest prawda.

– Przecież ty nie możesz tych wszystkich bzdur pamiętać. To niemożliwe! – syknął.

Cuda przyprawiały go o zły humor.

– Przypomniało mi się. Wybuchło działo. Potem mam lukę. A potem pamiętam już tylko lata spędzone tutaj. W tej szkole, wśród tych durnych dziewczuch i nauczycielek, długie lata życia w niewoli. Skoro zaś mowa o bzdurach, sir, to właśnie wszystko to uważam teraz za bzdury – rzuciła Art, spoglądając na ojca zimnymi jak stal oczyma.

– Skąd wzięłaś te bezwstydne, odrażające ubrania?

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem

– Od dwóch stajennych. To ich najlepsze, niedzielne stroje. A kurtkę i koszulę dostałam od odźwiernego. Zapłaciłam za to. I im, i pracze. Obawiam się, że twoimi pieniędzmi, ale przecież i tak już mi je dałeś.

– Dostałaś je na nowe ubranie.

– Oto i one, moje nowe ubranie.

Weatherhouse oparł się o marmurowy kominek i wściekłym wzrokiem spojrzał na córkę, córkę, która w tej chwili – wielkie nieba! – aż za bardzo przypominała Molly Faith – jego byłą żonę.

– Skoro przypomniałaś sobie tak wiele, to powinnaś sobie też przypomnieć, jak sztywna i elegancka była twoja matka.

Art zwróciła się ku niemu gwałtownie. Ruchem kocicy, która dostrzegła bardzo nie lubianego kota.

Weatherhouse zwrócił uwagę na ten gest i mimo piorunów, które wciąż miotają jego oczy, otworzył bezwiednie usta.

– Moja matka, sir, była królową mórz. Była cesarżową piratów, wiodła po falach flotę dwudziestu okrętów...

– To zwykle bzdury, czcze kłamstwa, bujda i nieprawda...

– Po dziś noc jej imię rozbrzmiewa na całym świecie jak bicie dzwonu, sir. Nie „Molly”. Nie „Faith”. Ani też nie twoje nazwisko, tatuśku, które przybrała w dzień waszego ślubu. To nazwisko z pewnością nigdzie nie rozbrzmiewa!

– Ona była zwykłą...

Art zerwała się na równe nogi. Dwie kryształowe łzy spłynęły jej po policzkach. Ale nie sprawiły, że dziewczyna wydała się słaba czy bezbronna. Były raczej jak srebrne medale, jak klejnoty dumy lśniącej w jej spojrzeniu.

– Nazywała się Piratika.

– Piratika – prychnął Weatherhouse. – Dorośnij wreszcie – dodał małostkowo i brutalnie. – Ona nie żyje. Jest martwa, jak papierowe melodramaty, w które zamieniła swoje życie. Została pogrzebana w ziemi. Lub, jak wolisz, jest karmą dla rybek.

– Wiem.

– A co do ciebie, Artemizjo, to wydałem już odpowiednie polecenia. Mam nadzieję, że ten pokój przypadł ci do gustu, ponieważ nie opuścisz go, póki nie odzyskasz rozumu, moja droga. Uważasz, że ta akademia jest więzieniem? Cóż, trzeba ci wiedzieć, że w więzieniach ludzi się zamyka. Koniec z wystawnym jedzeniem, z pysznymi słodkimi lemoniadami dla panien, z drogą herbatą i kawą, nie mówiąc o sokach i czekoladzie. Wystarczy ci kubek wody. Aha i koniec z drewnem do kominka.

– Wesołych Świąt – rzuciła Art.

– Molly wystarczająco załazła mi za skórę – stwierdził jej ojciec. – Nie pozwolę, byś ty uczyniła to samo.

– Ona też miała cię dość, sir – mruknęła dziewczyna, gdy zatrzasnęły się za nim drzwi. – Miała cię dość i dlatego cię zostawiła, zabierając mnie ze sobą, choć byłam jeszcze małym dzieckiem. I ja też nie pozwolę, byś mi to zrobił. Straciłam już sześć lat.

Wsunęła pogrzebacz do kominka i po chwili go wydobyła. Poczerniał od gorąca i popiołu. Podeszła do czystej, jasnej ściany obok paleniska i wielkimi literami wypisała na niej prawdziwe imię swojej matki.

## 2. Wybitnie kobiecy odcień różu

W nocy coś przerażająco zaryczało. To był jeleń ryczący w lesie albo na Błoniach. Śnieg zasypywał okna grubymi, białymi wstęgami.

Ogień w kominku dogasał. W pokoju zrobiło się naprawdę zimno, jednak Art wcale się tym nie przejmowała. Wiedziała, że wbrew ojcu i mimo zamkniętych na głucho drzwi i okien, w końcu się stąd wydostanie. A zatem powinna się przyzwyczajać do chłodu panującego w pomieszczeniu. Przez cały ranek i popołudnie rozmyślała o tym, co sobie przypominała. Raz po raz wracała myślą o coraz wyraźniejszych wspomnieli. A były to obrazy tak żywe, jakby ktoś namalował je farbami na płótnie jej duszy.

Widziała na przykład morze – błękitne, pełne spokoju, zielone jak surowy groszek, ale także mroczne, kiedy niebo stawało się w czarne, a pioruny kruszyły maszty żaglowców kołyszących się na wysokich falach. Statek pochylał się to w jedną, to w drugą stronę tak mocno, że wydawało się, iż chce wywinąć koziołka. Czy Art się kiedykolwiek bała? Może tylko raz. To było jedno z jej najwcześniejszych wspomnieli. Molly stoi mężnie na pokładzie, trzymając w ramionach dwu-lub trzyletnią Art.

– Cóż to za widowisko! – woła. – Patrz, córeczko, jakie to piękne! – po czym dodaje: – Nigdy nie bój się morza. Morze to najlepszy przyjaciel ludzi takich jak my. Jest lepsze od każdego lądu. Należy mu się szacunek. Nigdy nie waz się myśleć, że morze jest okrutne albo niesprawiedliwe. Tacy bywają wyłącznie ludzie. Morze jest po prostu sobą. A nasz żaglowiec? To prawdziwy szczęściarz. Jest przyjacielem morza. Wiedzą, jak się do siebie odnosić.

Dokładnie w tej samej chwili wielka, zielona i słona fala załazała pokład. Zwijano żagle. Marynarze Molly przemykali pomiędzy masztami, mocno ściskając w dłoniach wilgotne liny, kołysali się niczym rozbrykane małpy wśród drzew.

Matka i córka były kompletnie przemoczone.

– Nie bój się nawet wtedy, jeśli zaczniemy tonąć – ciągnęła Molly. – Ci, których morze zatrzymało na zawsze, śpią teraz wśród syren i pereł w zatopionych krainach. To musi być piękne miejsce, nie uważasz, kochanie?

Żaglowiec Molly, ten prawdziwy szczęściarz, pewnego dnia...

Nie. Jeszcze nie. Nie teraz.

Zamiast więc myśleć o tym Art przypominała sobie piękne krainy i wyprawy na brzeg. Odwiedziny w domach gubernatorów, którzy – zadowoleni z bogactw przywiezionych na ich wyspy przez piratów – zapraszali Molly i jej ludzi na wystawne kolacje lub bale. Art często siadywała na obitym aksamitem fotelu i przyglądała się matce, jak obwieszona bransoletami i koralami w szkarłatnej lub zielonej sukience wiruje na parkiecie z elegancko ubranymi mężczyznami. Zawsze wtedy serwowano wyrafinowane i smaczne potrawy. Były też lody i kieliszki pełne strzelającego diamentami szampa, a niezwykle wygadani piraci Molly, na tarasach i pod palmami obcaili piękne damy. Wszyscy ich uwielbiali. Jakież się zrywały oklaski i wiwaty, gdy wpływali do portu wraz ze skrzyniami pełnymi złotych monet i drogich kamieni.

Najwyższa już pora przypomnieć sobie morskie bitwy.

Cóż, one też były niezwykle i wspaniałe – za dobrze znanym na wszystkich morzach okrętem Molly często ruszał pościg z nieprzyjaznych portów i flot, a jeszcze częściej zawistni konkurenci – wrodzy korsarze.

Żaglowiec Molly zwał się „Nieproszony nieznajomy” i przypominał, mimo wysoko strzelających ku górze masztów, wysmukłego, chudego charta. Był mocny i szybki. Jednostki tego typu zaczęto konstruować, ponieważ w handlu pełnomorskim liczyło się przede wszystkim to, kto dowiezie towar pierwszy. Molly udało się zdobyć tak szybki żaglowiec dzięki ze swoich podstępów; wydawało się zresztą, że jemu samemu bardzo ta zmiana właściciela pasuje. Stał się szczęśliwym statkiem słynnej królowej piratów i pływając pod swym nowym imieniem, bawił się o wiele lepiej niż przedtem.

Zupełnie jak Art.

No i flaga. O, tak! Art doskonale pamiętała flagę. Z początku pływali pod tradycyjną, siejącą postrach na morzach i oceanach banderą z trupią główką i pischczelami na czarnym tle – zwaną przez niektórych Wesołym Rogerem. Potem jednak Molly, jedna z niewielu pirackich kapitanów w spódnicy, zarządziła zmianę flagi. Dla żartu kazała przemalować tło na różowo, a kości na czarno. I był to wybitnie kobiecy odcień różu. Nowa bandera szybko zyskała sobie wśród załogi, i wszystkich innych żeglarzy Siedmiu Mór, nazwę Wesołej Molly.

Tak więc, furkocąc różową banderą, „Nieproszony nieznajomy” wpływał do portów, wzbudzając powszechny zachwyty.

Na pełnym morzu zaś, gdy rzucały się nań wrogie galeony, gdy ich działa wypluwały żelazne kule i gdy ogień rozdzierał wodę i powietrze, a nad oceanem unosiły się gęste kłęby dymu, unikał pocisków i zwinnie odpływał nieuszkodzony.

Najczęściej „Nieznajomy” zasadzał się na statki handlowe i czasami sam, czasami w towarzystwie części lub całości należącej do Molly floty, która liczyła sobie od piętnastu do dwudziestu okrętów. Art słyszała w wyobraźni wyjące piskliwie flety, gwizdki i trąbki oraz dudniące bębny, którymi piraci jej matki starali się przestraszyć upatrzony łup. A potem działa „Nieproszonego” rozpoczynały swoją przerażającą kanonadę. Strzelały jednak po to tylko, by uszkodzić, nigdy, by zatopić.

Tych, którzy się poddali, Molly traktowała niezwykle uprzejmie. Także swojej załodze nie zezwalała na okrutne zachowanie wobec napadniętych. (Art ujrzała w duchu Molly, która ukloniła się wystraszonej młodej dziewczynie i spytała: „Czy ten topaz należał może do twego szanownego ojca? W takim razie, madame, proszę go zatrzymać i oddać tacie z pozdrowieniami”). Ale jeśli doszło do prawdziwej bitwy... – Art patrzyła teraz na pełną wdzięku Molly, potrafiącej wytrącić broń z dłoni każdemu, kto ważył się rzucić jej wyzwanie. Zaraz potem, posuwała się do swego najokrutniejszego czynu – rozcinała mieczem guziki podtrzymujące spodnie nieszczęśnika, tak że opadały mu na kostki, a cały okręt zaczynał trząść się od śmiechu marynarzy.

Szczęśliwy okręt. Szczęśliwy jak sama Molly, która wkrótce zyskała sobie przydomek „Kuloodpornej” – czyli po prostu niezniszczalnej. Takiej, której zawsze sprzyja szczęście. Zaiste wspaniałe, pełne przygód życie.

W ten oto sposób, mimowolnie, Art dotarła we wspomnieniach do dnia, w którym to czarowne życie dobiegło kresu. Do Dnia, w którym Okręt Matki Zatonął.

Szesnastoletnia Art zasnęła przed wygasłym kominkiem. Przeżywała to raz jeszcze, we śnie, tę ostatnią scenę, tamten dzień, gdy miała ledwie dziesięć lat.

Art siedzi na pokładzie „Nieproszonego nieznajomego” i podziwia Molly, która zręcznie i odważnie schodzi z głównego masztu. Art także już potrafi wspinąć się na wszystkie maszty. Pomaga też marynarzom, zwija lub rozwija z nimi żagle. Podobnie jak wszyscy piraci zna ten statek na wylot, o góry do dołu. To przecież jej dom. Cały jej świat.

– Ktoś nas ściga – oznajmia nagle Hurkon Beare, którego oblicze staje się w tym śnie nieoczekiwanie wyraźne. To pierwszy oficer na statku Molly. Jest Kanadianinem, jedną nogę ma nieco krótszą i jest jak na swój młody wiek przedwcześnie posiwiły (był wtedy niewiele starszy niż obecnie Art). We śnie jednak (w przeszłości) Art ma tylko dziesięć lat, a Hurkon wygląda bardzo dojrzałe. Na jego ramieniu siedzi coś kolorowego i rozczochranego.

Płyną na pełnych żaglach. Na masztach wściekle łopocze targane przez wicher płótno. „Nieproszony” mknie naprzód pełną mocą.

Ale na horyzoncie widać już sylwetkę statku. To pościg. We śnie, wciąż w przeszłości, ten drugi żaglowiec wydaje się za mgłą – ciemna, skłębiona chmurka, dziura wydartą w jasnym niebie. Czyżby jego żagle też były czarne?

– Szykować działa – rozkazuje Molly Hurkonowi. Po chwili podchodzi do Art, uśmiecha się do córki. Nie ma w niej strachu. Art też się nie boi. Co więcej, dziewczynka podrywa się i biegnie na dolny pokład, by przyrzeć się z bliska, jak żeglarze wytaczają pięć grubych dział na odpowiednie do walki pozycje, czarne paszcze luf wysuwają się ze swych leży w burtach. Właz na górny pokład jest otwarty, więc Art wciąż widzi swą matkę. Molly chodzi to tu, to tam. Dziewczyna słyszy jej pytania i odpowiedzi Hurkona.

Po chwili Słony Walter, rudowłosy chłopak, wygania Art. na górę.

– Sio, do mamy, już!

On zawsze traktuje ją jak małe dziecko. Ona się jednak nie kłóci. Słucha się go. Wie, że w bitwie nie można tracić ani chwili.

Wchodzi po drabince na górny pokład i słyszy Hurkona.

– Ten statek to „Nieprzyjaciół” – mówi oficer do Molly. – Widzisz? Nie wywiesili żadnej bandery, ale wszystkie żagle mają czarne i trują czaszkę na każdym z nich.

Co to jest, co on nosi na ramieniu? Pierzasta szczotka do kurzu? Nie! To żyje! Podrywa się do lotu! Art – ta dziesięcioletnia Art – wie, że to ptak. Szesnastoletnia siania Art nie jest tego pewna. Tak czy inaczej to coś już zniknęło.

– „Nieprzyjaciół”. Nigdy nie zrezygnuje. Jego kapitan pragnie dostać mapę z zaznaczoną drogą do skarbu, Molly.

„Nieprzyjaciół”, którego motywy już znamy, jest bardzo blisko. Czarny okręt płynie ku nim, wielki niczym dom ze spadzistym dachem, żagle ma nachylone, zdaje się nad nimi górować. Sprawnie zmienia kurs.

Ryczą działa. Ogień.

Art stwierdza, że siedzi okrakiem na samotnym dziale na górnym pokładzie. Na Księżnej. Dlaczego? Przecież z pewnością nie powinno jej tu być? Może wdrapała się na lufę, by lepiej widzieć bitwę...

Wykonują zwrot, by odpowiedzieć „Nieprzyjacielowi” salwą z całej burty naraz.

I wtedy, zewsząd i nagle, dolatuje nie kolejny hurgot czy wybuch, ale uderzenie gorącej ciszy. Ciszy parzącej, po której nastaje lodowata nicość.

Art otwiera oczy.

Art otworzyła oczy i okazało się, że siedzi wyprostowana w fotelu, w zamkniętym pokoju w „Domu pod Aniołem”, w akademii dla młodych dziewcząt.

Znow coś zaryczało, ale tym razem nie było to już okrętowe działo, lecz jeleń w ciemności pobliskim lesie. Dziesięcioletniej Art ktoś potem powiedział – gdy ocknęła się w przeraźliwie czystym łóżku – ktoś jej powiedział, że uratował ją jej ojciec.

Dziewczyna pomyślała o srogim ekslordzie Weatherhousie. Ujrzała go po raz pierwszy właśnie wtedy – gdy miała dziesięć lat – z czasów, kiedy była małym dzieckiem, nie pamiętała go. Był sześć lat młodszy niż dzisiejszego wieczora, niemniej jednak wyglądał tak samo groźnie. Spojrzał na nią złym wzrokiem i oznajmił, że „wybaczył jej grzechy matki”. Art-dziecko nie rozumiała, jakie to mogły być grzechy. Nie pamiętała żadnych – w ogóle nie pamiętała niczego – aż do tej chwili.

Zesłana tu, do szkoły, wiedziała jedynie, że jej matka była „kobietą upadłą” i że nie żyje. To wszystko.

Aż po dziś dzień Art nie pamiętała Molly.

Na zewnątrz coś odbiło się od zaśnieżonego okna. Dziewczyna obróciła się i kątem oka ujrzała to coś w nienickającym blasku świecy. Barwy obu balowych sukienek matki naraz – szkarłat i wspaniała zieleń. Tylko co to było? Kawalek materiału? Jakaś zabawka? Płatki śniegu wciąż falowały, spadając w dół, ale to coś wystrzeliło w zupełnie innym kierunku, ku górze. I zniknęło.

Księżna wyleciała w powietrze. „Nieprzyjaciół” podziurawił szczęśliwy statek. Zatopił go.

Matka Art spała, razem ze swym żaglowcem i żeglarzami wśród syronek i pereł. Spała snem wiecznym.

W pokoju rozległ się dziwny, niepokojący hałas. Jakby ponad marmurową obudową kominka ożywały cegły komina... Art podskoczyła i obróciła się, w samą porę, by zobaczyć czarne coś, co wypadło z kominka w obłoku sadzy i popiołu, tuż ponad wygasłym paleniskiem.

Leciało wprost na nią. Wymachiwało skrzydłami, z których sypał się deszcz czarnych drobinek. Pokazały się pierwsze barwne fragmenty. Zieleń. Czerwień.

– Miedziaki! – rozwrzeszczał się ptak, papuga Molly Faith z „Nieproszonego Nieznajomego”. – Miedziaki! Śmieciaki...!

– To mama mnie uratowała – powiedziała Art, przyglądając się rozwrzeszczanej papudze. – Teraz i to już pamiętam. Mała szalupa. Wsadzili mnie do niej, tuż zanim „Nieproszony” zatonął. Mnie i tylko mnie.

– Waciaki! – ptak nie rezygnował.

Po czym zawrócił i czmychnął na powrót kominem.

Art otworzyła oczy po raz trzeci, i pierwszy naprawdę, i okazało się, że jest sama w lodowatym, ciemnym pokoju.

Panującą ciszę zakłócało jedynie tykanie stojącego na kominku zegara. Wyteżyła wzrok i zobaczyła, że jest za piętnaście dwunasta. Kwadrans do Bożego Narodzenia. Czy papuga we śnie wleciała przez komin dlatego, że dziewczyna myślała o Świętym Mikołaju?

A może po prostu potrzebowała czegoś, co przypomniałoby jej o istnieniu tego komina?

Prowadził prosto ku górze, przechodził przez kilka pomieszczeń w budynku i kończył się na zewnątrz, na dachu. Z pewnością można się było nim wspiąć i potem zejść, wejść na górę i wrócić na dół. Akademia zajmowała czteropiętrową rezydencję, budynek z wieloma kamiennymi zdobieniami, na których z pewnością dało się oprzeć stopę i których można się było uczepić dłońmi. Wewnątrz czarnego, oślizłego od sadzy komina zamontowano – z myślą o kominiarzach – żelazne szczeble.

Dla młodej kobiety, która będąc jeszcze dzieckiem, śmigała po masztach rozbrykanego na falach żaglowca, była to po prostu niemęcząca wycieczka.

Wsuwając się do kominka, Art bardzo się dziwiła, czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy i dlaczego musiała czekać na pojawienie się we śnie papugi.

Na ścianie w pustym już pokoju widniało wypisane pogrzebaczem imię: PIRATIKA.